

I. INTRODUKCJA

Na drzwiach wisi napis: PORADNIA DLA STRAPIONYCH. Marta Żaleńska odczytuje to machinalnie, ile razy przekręca klucz w zamku. I wciąż marszczy brwi. Wątpi, czy ta nazwa najlepiej określa istotę jej działalności. Wolalaby „Uniwersytet Życia”, czy coś w tym rodzaju, żeby każdy od razu wiedział, czego tu szukać. Przecież ludzie tak straszliwie błędzą! Nie umieją żyć! Żyją strasznie!

Zmrok gęstnieje, gdy po chwili dociera do przystanku tramwajowego. Z dala wynurzają się już dwa podobne oczom światła i wydłużają smugami wzdłuż szyn, a te dźwięczą coraz donośniej. Tramwaj rośnie błyskawicznie. Trzeba przyspieszyć kroku. Ostatnie metry Marta przebywa klusem. W ostatniej chwili z całych sił wciska zielony guzik przy drzwiach, one rozsuwają się i zdyszana wdziera się w mur oblegających pomost, a pojazd z dygotem rusza.

Wszystko w niej trzepocze niby liść na wietrze. Serce łomocze, jakby chciało rozrywać pierś. Oddech się rwie. Przesuwa się w stronę krzesel. Na każdym jakaś oklapnięta postać – nieruchoma, na wpół uśpiona. „Czemu oni tacy byle jacy?” – oburza się. Mogliby przecież czytać, uczyć się słówek, prowadzić intelektualne dyskursy. Ho, ho! Znowu się rozpędziła! Daje o sobie znać nerw pedagoga! Nieustannie łapie się na tym, że wciąż, pomimo tylu lat pracy nad sobą, dalej tkwi w niej groźna profesorka matematyki, która przed laty stawiała najwięcej dwój. Ciągłe patrzy na wszystkich nadmiernie krytycznym okiem. Nawet mówią o niej... Nie! Tego nie będzie przypominać! Wszystko przez to, że każdego chciałaby udoskonalać! Każdemu pomagać! Przecież dlatego stworzyła „Poradnię dla strapionych”.

Tylko gdyby zdradziła to już w nazwie, wyśmiano by ją, że uzurpuje sobie, iż wie lepiej od innych, jak żyć. I to kto? Postrzelona baba po czterdziestce! Od niej nawet córka uciekła! I mąż! Na próżno by tłumaczyła, że tylko wyjechali na trochę. Ludzie wiedzą swoje i już. Raczej nie tak wyobrażają sobie solennego pedagoga. Jednak do jej poradni, choć nazwana tak nieprofesjonalnie, i tak, ku zazdrości kolegów po fachu, przychodzi wielu strapionych, co się pogubiło i cierpi. Dziś zasiedziała z takimi do późna.

Owija się ramieniem wokół rurki oddzielającej pomost i zawiesza się na niej całym ciężarem. Nie jest to dogodna pozycja do studiowania

rozmówek angielskich, co zwykle czyni podczas jazdy, postanawia więc wyciszyć się po znojnym dniu. Raptem uświadamia sobie, że znów jej usta szepczą bezwiednie: „circumambulatio... circumambulatio...”.

Przekłęte słowo! Wciąż ją prześladowuje! Rozgląda się przestraszona, czy się kto nie śmieje. Ale stojący wkoło są jak pogrążeni w śnie. Widać utrudzeni. Ukoilo ich monotonne postukiwanie kół o szyny, ta kołysanka wieczornego tramwaju. Tylko ci, co dopiero weszli, wyciągają ręce w stronę kasownika, a wkrótce uwieszeni barierki chwieją się, jak marionetki na sznurku, do tyłu i do przodu.

I ją ogarnia senność. Z nagłą przeszywa ją dreszcz! Nie ma biletu!? Wczoraj była na konferencji naukowej z inną torebką! I jeździ tak tramwajem od rana! Wymacując w przepastnym wnętrzu niemilosiernie wyładowanej torby saszetkę, gdzie powinien być miesięczny, oddycha z ulgą, i tylko serce kołacze gwałtownie, a usta trzepią znowu raz po raz: circumambulatio... Zaciska zęby, przegryzając w pół natrętnie słowo.

Gromi się za ten głupi przejaw neurastenii. Co się z nią ostatnio dzieje?! Przecież dawno sobie wmówiła, że jest wolna od wszelkich kompleksów, fobii, natręctw. Pomaga innym takie coś zwalczać. Nigdy nie zavraca sprawdzić, czy dobrze zamknęła drzwi, czy wyłączyła żelazko. Takie słabości według niej to tylko „momenty zawahań”. Każdy ma takie chwile. One dowodzą, że intelekt pracuje na najwyższych obrotach. I o to chodzi!

Ale o sobie lepiej za dużo nie rozmyślać. Jakby się rozniosło, że w chwili napięcia mamrocze natrętnie to swoje „circumambulatio”, dopiero by się natrzęsali. Już i tak obsmarowują ją za plecami, że wpycha się, gdzie tylko jest coś do zrobienia. I wszystkich chce pouczać. Jakby wszelkie rozumy pozjadała. Patetyczna przy tym, aż strach. Jakby unosiła się z metr nad ziemią. „No cóż – broni się – mam tylko poczucie powinności. A co do rozumu, niech im się wydaje, że taka mądra, bo sama mam wątpliwości. I ja mam momenty wahań”. Jeszcze jej zarzucają, że w swej działalności miewa dzikie pomysły. Trudno. Większość woli wlec się po utartych ścieżkach za innymi. Ona nie! Przyjdzie czas, to wyjawi swe eksperymenty. Ma nadzieję, że dołoży swój wkład w dziedzinę zwaną: sztuka życia, a wężiej: psychoterapia.

Dopiero co zamknęła za sobą drzwi PORADNI DLA STRAPIONNYCH. Sama tę poradnię założyła i sama od trzech lat prowadzi.

Udziela też porad w domu, ale Kasia, córka, krzywo na to patrzy, więc wynalazła większe lokum, gdzie prowadzi nawet warsztaty terapeutyczne. Pojutrze rozpoczyna takie z nową grupą kobiet. Poprzednia wykruszyła się przed końcem. Aż dziw, jak te rozmamlane kobieciećka mało wytrwałe. Wciąż i wciąż zaskakuje ją fakt, jak bardzo ludzie nie potrafią żyć. Co gorsza, choć cierpią, nie znoszą, by ich pouczać! Niby przychodzą tu, by coś w swym życiu poprawić, a nie bardzo chcą wypełniać jej polecenia. Rzeczywiście, wiele od nich wymaga, lecz inaczej nie wyrobi się odporności psychicznej. Od tego trzeba zacząć!

Zawsze była wymagająca. Wobec siebie samej i wobec innych. I jak uczyła matematyki, i teraz jako inspektor szkolny, i gdy pomaga innym wydobyć się z dołka psychicznego. Nawet trzydzieści lat temu, gdy pracowała jako przedszkolanka, była zanedo poważna. Niełatwo jej było zniżyć się do poziomu lalek i klocków. Dzieci się jej bały.

Trudno! Nigdy nie cierpiała kompromisów! Żadnego ułatwiania sobie! Chodzenia na skróty! Gdy jej to wytykano, zaperzała się, że „życie łatane kompromisami jest jak pstra szata błazna”! Takie słowa wyczytała, kiedy miała ze dwadzieścia lat, w bardzo starej książce o filozofii sztuki. Heilperna. Spasowały jej jak ułał. Później taki pancierz zaczął uwierać. Musiała się zmienić. Wciąż jednak wybiera najtrudniejsze ścieżki.

Tylko niekiedy coś się jej wymyka spod kontroli, jakby zmęczona krępującymi rygorami porządności zaczynała z tego pokpiwać i wtedy miewa dzikie pomysły. Czasem całkiem głupie. Zaskoczonym, tłumaczy, że to „transgresja, takie przekraczanie własnych możliwości w celu osiągnięcia coś więcej”. Nie wie, czy ktoś to rozumie, ale to niezły wybieg. Nadanie czemuś nazwy nieraz coś wyjaśnia, a kiedy indziej – tuszuje. Ludzie i tak rzadko chcą dociekać każdą rzecz do końca.

Tylko odkąd z pół roku temu przeczytała kolejną książkę o psychoanalizie, stało się coś, że odtąd raz po raz ulega natręctwu osobliwego słowa „circumambulatio”. Szczególnie gdy ją coś niepokoi, a do tego jest wykończona całym dniem rozlicznych zajęć, wybija się ono na wierzch z mroków podświadomości. Powtarza je bezwiednie, i to na głos.

Ale czarne torbisko, nieznośnie obciążające ramię, nie bez powodu jest dziś źródłem niepokoju. Tam – obok kosmetyczki, etui z dokumentami, notesów, czasopism, zapasowych rajstop, chusteczek, książki

do angielskiego, powieści kieszonkowej, tomiku wierszy, pęków kluczy, dezodorantu, scyzoryka, latarki, herbatników, telefonu komórkowego i pistoletu gazowego – kryje się dziś coś, co od miesiący skupia najbardziej skrywane niepokoje.

Przedwczoraj przybrało to formę gęsto zapisanych kartek, i to – jak w emocjach – dość koślawym pismem. To dodatkowo dręczy, bo jak ognia boi się łamania form i na ogół jej kaligrafia jest wykwintna, a przynajmniej bez zarzutu. Niestety, tym razem pisała to ta częśćka jej pełnej sprzeczności osoby, która bywa zwariowana. I to, co pisała, dotyczy spraw wymykających się rozumowi. Ale gdyby zaczęła przepisywać, w ekscytacji wyszłoby jeszcze gorzej i nigdy by nie skończyła. Na komputerze nie mogła tego napisać, bo jeszcze – nie daj Boże – uwieczniłoby się, na pastwę niepowołanych oczu, gdzieś w zakamarkach plików, bajtów, bitów, które wciąż ją przerażają swą abrakadabrą.

Te kartki to list, będący wielkim krzykiem zapytania. Usiłuje o nim nie myśleć. Nie wolno w nieskończoność roztrząsać tego, co dręczy! To wbrew zasadom psychoterapii! Tym bardziej nie wolno w kółko rozważać, czy w ogóle powinna go napisać. Niewiadome należy wyjaśnić, żeby nie dręczyło. Nada list na pocztę i zapomni. Tylko czekać na odpowiedź nie będzie lekko. Do niełatwych sytuacji nawykła, są jej chlebem powszednim, zagrzewają do działania. Gorzej żyć w nieustannym dygocie niepokoju. Trzeba raz to przeciąć! Rozpisała się na całe dziewięć stron. Nie mogła pominąć żadnego aspektu sprawy. To pominięte mogłoby później dręczyć, że nie posłużyło za argument i coś przepadło. Dwa dni to pisała. Wczoraj ostatecznie zakleiła pękatą kopertę. Dziś, choć stara się o tym nie pamiętać, w miejscu, gdzie ona tkwi, bez przerwy czai się coś, co zakłóca każdą myśl. I strach to, i nadzieja.

Tramwaj staje i rusza dalej, ludzie wysiadają, wsiadają nowi. Wreszcie może usiąść na zwolnionym miejscu. Zaraz wyciąga samouczek do angielskiego. To jedyna okazja, bo zwykle brakuje czasu, ciągle się gdzieś śpieszy. Niestety, światło tu za słabe, a pojazd trzęsie się niemiłosiernie i litery skaczą jej przed oczami. Nie daje za wygraną. Zerka do słowniczka i powtarza zwroty w pamięci, długo, aż litery się jej kompletnie zacierają.

Za oknami tramwaju zmierzch jesieni. Szary, oślizgły wilgocią. Żółcą się jedynie światła latarń, kwadraty okien. . . Pojedynczy przechodnie śpieszą do domów. Odgradza ją od nich pobłyskująca światłami

szyba, a na niej – jej odbicie. Zerka ukradkiem, czy jej ciemne włosy znowu się nie rozwichrzyły, ale są ściśnięte surowo w kitkę. Tylko gdzieś-niegdzie prześwitują srebrne nitki, te pierwsze oznaki trosk i znużenia. Mocniej ściska pasek na fałdach zakietu. Myśli, że kostium w jodelkę, szary, o prostym kroju, konweniuje (takiego słowa używa starsza dama, którą się opiekuje w ramach wolontariatu) z jej surowym i zapracowanym stylem życia. Jeszcze zaciska zbyt wydatne wargi. Wychodząc nie zdążyła skorygować ich szminką. Nawet ma wątpliwości, czy powinna.

Ale nie lubi swych grubych, spierzchniętych warg, które w śmiechu odsłaniają wielkie zębiska i bardzo oszpecają. Co gorsza, jak raduje się całym sercem, jej śmiech przechodzi w przeraźliwy rechot, aż inni milkną zaskoczeni. Wyczytała raz, że kto w śmiechu nie pięknieje, nie może być człowiekiem dobrym. Odtąd przestała się śmiać. Nieustannie zaciska wargi i pilnuje, by nie rozdziawiały się w głupawym śmiechu. Teraz mówią, że jest nazbyt serio, aż odpychająca. Dlatego zaskakuje, gdy niespodzianie wybucha śmiechem. Na ogół ułożona do granic surowości, bywa czasem nieprzewidywalna, całkiem zwariowana, jakby się nie mogła dłużej utrzymać w ściągających ją ryzach.

Patrzy chwilę w umykające za oknem latarnie, kamienice, drzewa, reklamy, oglądane każdego dnia, że omal niewidzialne, i zaraz wraca do nauki słówek. Nie odpuszcza sobie. Ostatnio życie jej koncentruje się wzdłuż linii tramwajowej jedenastki, którą krąży w kółko, dzień po dniu, tam i z powrotem, z jednego krańca na drugi, podczas gdy mieszka pośrodku. Kiedyś jadąc tak wieczorem, na wpół senna, skojarzyła swe jeżdżenie jedenastką – tam i z powrotem – z terminem „circumambulatio”. Jung tak nazywał krążenie po okręgu, a ruch według wskazówek zegara określił jako wznoszenie się w górę, ku świadomości, tej najpełniejszej jaźni, a ten przeciwny, w dół, do nieświadomości.

I ona krąży od dołu w górę i z powrotem. Na początku tramwaj przedziera się przez ciasny tunel kamienic. Ulica zapchana klekoczącymi bezlitośnie ciężarówkami w kłębach dymu. Nawet autobusy wydają się tu bardziej zasmolone niż te same nieco dalej. Może tu taki cień, a może wszystko tu czarniejsze. Jak wyjdzie z tramwaju, widzi przez chwilę tylko pantograf odjeżdżającego pojazdu i zaraz zapada się on nie wiadomo gdzie, a ona schodzi w podziemne przejście. Jeździ tam jako kurator wykolejonej młodzieży. Niemal co dzień wędruje wśród kamienic z poobdzieranym tynkiem. Stara się nie widzieć rupieci i chwastów

na podwórkach, schodów z labiryntem zakamarków, ciemnych że oko wykol. Jednak tam gdzieniegdzie wyziera ślad niegdysiejszej świetności: jakiś balkon o wykwintnej linii balustrady, ozdobny gzyms, witraż ze słonecznikiem, secesyjne pawie z długimi ogonami.

Chyba nie widzą tego ludzie o nieobecnych spojrzeniach, przemakający wśród odrapanych murów, ani smutne kobiety z podkrążonymi oczami, ani zataczający się mężczyźni czy świdrujący przebiegle na wszystkie strony osobnicy, których lepiej omijać z daleka. Wygląda, że im się w życiu nie powiodło. Marta mawia, że nie znaleźli godziwego pomysłu na życie. Albo ich pomysł odległy jest od wyobrażeń, jakie miewają ludzie o jasnym spojrzeniu.

Dalej linia jedenastki wznosi się wyżej, a spośród zieleni wyłaniają się białe bloki. Ulice tu coraz szersze, latarnie o bardziej wysublimowanym rysunku. Centrum wyróżnia się wieżowcami. Tu większość pasażerów tramwaju wysiada. Przyjechali do pracy i żeby coś załatwić czy uduchowić się w muzeum lub teatrze. Tutaj na wystawach sklepów leżą futra i akcesoria myśliwskie. Nawet sztuce stają się tu dziełem sztuki. A sklep z warzywami, żeby usprawiedliwić swą tu obecność, stara się układać marchew, brukselkę i cytryny w obrazy starych mistrzów. Wiosną bywa to Primavera, zimą fragment z Breugela, ze śniegiem z czosnku. Nocą jasne sklepy powtarzają po wielokroć światła lamp w wielkich szybach wystaw. Świat poza nimi tonie w nierealnej poświacie.

Dalej bloki ustępują willom, kryjącym się za coraz wyższym żywopłotem. Spoza niego tu i ówdzie można dostrzec pyszniące się detale architektoniczne, stylowe balustrady, wimpergi czy łypiące wśród dachówki wole oko świetlika. Tu rozsiadła się dzielnica tych, którym się w życiu udało, o, nawet bardzo. Z czerwonego chodnika u wejścia hotelu portier patrzy z pogardą na tych, którzy nigdy jego progu nie przestąpią. W ciszy tu i tam rozlega się znieuacka ujadanie, aż strach, że zaraz wyskoczy żarłoczne psisko.

Na obrzeżu tej dzielnicy mieści się poradnia, gdzie Marta prowadzi terapię dla zakompleksionych, nieśmiałych i strapionych. Obok rozrasta się park ze starodrzewem, przechodzący w las. A co dalej? Marta nie wie.

Ona jeździ w oba krańce tej linii tramwajowej, bo i jednych i drugich pragnie ratować od smutku. Każdego chciałaby uczyć, jak żyć. Ta-

ki już jej zawód, a robi to z wielką żarliwością. Nie na darmo posiadała pewne tajemnice. I nie bez powodu złośliwi mówią na nią: czarownica. Jej samej niekiedy się wydaje, że naprawdę podczas terapii odczytania tajemne rytuały, wygłasza ekstatyczne przemowy, a jej słuchacze niewiele z tego rozumieją. Przypuszcza, że właśnie takie wystąpienia można nazwać glosolalią, ale nie mówi tego głośno. Ludzie czegoś takiego nie lubią. A ona kocha tajemniczość niezrozumiałych dla innych słów.

Czasem ulega złudzeniu, jakby oświetlała ją jakaś dodatkowa lampa, dzięki której myśli stają się lotne i sięgają w najodleglejsze strefy. Nawiedza ją wtedy mnóstwo pomysłów. Zapomina o czasie, o zmęczeniu, a siły przychodzą jej nie wiadomo skąd. Niekiedy tak się w tym zapomina, że sama nie wie, co się z nią dzieje. Dlatego dzień po dniu krąży od jednego zajęcia do drugiego i raz po raz naciska to zielony przycisk przy wejściu do tramwaju, to czerwony, gdy wychodzi. Kiedy nic się nie dzieje, myśli mąci zmęczenie i jakiś niepokój, że kiedyś popełni coś szalonego. Na razie potrafi to zwalczyć. Jeszcze by tego brakowało, żeby ona, terapeutka, nie trzymała się w ryzach.

Sama mieszka pośrodku trasy, którą co dzień przebywa. Tylko ostatnio bywa w domu jak najmniej. Mąż, Włodek, od kilku sezonów za granicą. O powrocie jakoś nie wspomina. Lepiej nie dociekać, co to znaczy. Kasia, ich jedynaczka, wybrała liceum plastyczne daleko stąd. Wolą miasto z bogatszą tradycją i architekturą, podniecającą codziennością, co bardziej inspiruje wyobraźnię. Zawsze była skryta, a pouczeń wysłuchiwała w milczeniu, patrząc ironicznie spod zmrużonych powiek.

Marta, chociaż na wszystko ma receptę, nie znalazła takiej dla siebie, żeby pogodzić ambicje zawodowe z należyтым wychowaniem dziecka. I Kasia snuła się po podwórku z kluczem na szyi albo wysiadywała godzinami w świetlicy szkolnej, tłamszona przez wrzeszczące świetliczanki, które chcąc przebić się przez hałas dzieci, waliły metrową linią w stół. A teraz wyjechała, zostawiając nawet komputer, który ojciec sfinansował. Siedziała przy nim godzinami. Całe to urządzenie w Marcie wzbudza lęk, ale się zawzięła i wdrożyła co nieco w system. Tylko gdy się program zawiesi, wydzwania o pomoc do kolegów Kasi.

Nie potrafiła zatrzymać córki. Cóż, łatwiej rozwiązywać problemy innych. Jaki błąd popełniła? Chyba poświęcała córce za mało czasu.

Trudno, praca dla innych miała być drogą do osiągnięcia czegoś ważnego, czegoś wielkiego. Tylko w nawale zajęć zapomniała, czym miało być to coś ważnego. Misja? Służba? Wszystko dla innych. Ale i coś więcej.

Oczywiście, pomagając innym lepiej żyć, Marta ma poczucie, że wypełnia tak nakaz dążenia do ideału. Każdy chciałby być lepszy. Nawet jej podopieczni, łobuzy i bandziory – skrywają w sobie pragnienie, by być w czymś najlepszym. Oczy jej wychodziły na wierzch, gdy podczas występów na Dzień Nauczyciela ci chmurni i na pozór nieociosani chłopcy wyczyniali w tańcu przeróżne wygibasy i kręcili się na głowach, wywijając nogami w górze. Bała się, że się połamie, że kogoś kopną! „Ależ to break-dance i hip-hop” – uświadomiono jej, gdy siedząc w pierwszym rzędzie, odchyłała się z przestraczem w tył. Oni uczą się tego w jakimś tam klubie. I robią to ochoczo! Inni znów próbują sił w sporcie. Bez opamiętania jeżdżą na łyżworolkach w kolistych tunelach w górę i dół. Jak się to nazywa – zapomniała. Albo ćwiczą karate. A jeden niedomyty i potargany pisze wiersze. Nieporadne, jak on sam, ale jednak. Trzeba w każdym to coś dobrego odnaleźć. Wtedy wydobędzie go z dna.

Pomagając potrzebującym, Marta zapomina o zmęczeniu, o upływającym czasie. Zapomina o narosłych w niej żalach i złości do całego świata. Oczywiście panuje nad emocjami, ale te, spychane w nieświadomość, mogą łatwo wybuchnąć! Nie, to tylko wybryk jej zmęczonej podświadomości! Cóż, każdy miewa chwile zawahań psychicznych!

Wysiadając z tramwaju, znowu naciska guzik obok drzwi, tylko czerwony.

Potem jeszcze biały – w windzie – i na koniec – jeszcze jeden, tym razem od telewizora. Tak sobie pstrykając guziczkami, niczym bajkowa Alicja, wchodzi coraz to w inną rzeczywistość. Czasem jak w dzielnicy domów w ogrodach, gdzie tramwaj numer 11 kończy bieg. Tylko filmy tam się dziejące nudzą ją kliwosciami. Naciska znowu przycisk pilota i na innym programie ma scenerię podobną do tej na drugim krańcu jedenastki, dzielnicę starych kamienic, o której los zapomniał.

Dopiero zasypiając, uświadamia sobie, że nie nadała na pocztce listu. Stary Freud zaśmiałyby się złośliwie: zapomniała, bo nie chciała go wcale wysłać. I chyba miałby rację. Jeszcze nie wie, czy powinna. . .

II. DZIECI CHADZAJĄCE WŁASNYMI ŚCIEŻKAMI

Do ośrodka kuratorskiego dla młodzieży sprawiającej trudności wychowawcze, gdzie Marta Żaleńska prowadzi terapię, przyszedł dziś Maryś, właściwie: Maurycy.

Bardzo wymyślne imię. W tej dzielnicy, pośród odrapanych kamienic z brudnymi klatkami schodowymi, gdzie na ciasnych uliczkach bez drzew co rusz zatacza się pijany, co krok spotka się Żanety, Marzanny, Ludomirów i Manfredów. Tutejsze matki – zazwyczaj chude, przedwcześnie postarzałe kobieciny o podkrążonych oczach – z lubością obdarzają swe pociechy imionami z filmów i starych kalendarzy. Tak realizują swą tęsknotę za czymś pięknym i niezwykłym. Potem pokrzykują z okien do grzmocących się po podwórkach chłopaczków: „Emanuel! Cezar!”, a nawet z hiszpańska „Diego!”. Tylko na takie wołanie nie pojawia się panicz w koronkowej kryzie, ale pociągający nosem, umorusany łobuziak.

Do Marysia nikt prócz matki nie zwraca się tak oficjalnie. Tylko czasem któryś chłopak słysząc jej wołanie, przedrzeźnia z daleka: „Maurycy, mama rycy!”. No, nie daj Boże, żeby Maryś dorwał takiego w swe łapska! Niby flegmatyczny, jowialnie uśmiechnięty, ale pięści ma twarde. I szybkie. Kiedy przez zaciśnięte wargi wysyczy komuś, że mu nogi skądś tam powyrywa i żeby lepiej przyniósł woreczek na zęby, taki od razu blednie. On robi więc, co zechce. Niestety chce nie tego, czego oczekują w szkole. Każą mu tam wysiadywać godzinami w przyciasnej ławce i wysłuchiwać nudnych panius. Woli łowić ryby. To jedno lubi.

Teraz rozwalił się na krześle, jak tylko mógł najbardziej, z dala od biurka Marty i spogląda na nią wyzywająco. Ona nie ma dziś pomysłu o czym z nim rozmawiać. Wyczerpała już dawno wszelakie sposoby, czerpane z podręczników i wymyślane przez nią. Wszystko na nic! Przez chwilę szuka rozpaczliwie natchnienia w wiszących na ścianie portretach poetów i uczonych, ale tym razem i oni zdają się spoglądać w nią ironicznie, jak Maryś. Każe mu usiąść bliżej. On tylko przechyła się na drugą stronę i dalej tkwi z szeroko rozłożonymi ramionami i nogami. Uśmiecha się tylko bezczelnie, jakby pytał: „no i co mi zrobisz?”.

Przecież nie powie tej kłepie, że się nie wyspał. Pół nocy szukał

po melinach ojca, a ten spał zalany pod schodami. Tego nie może opowiedzieć, ani o strachu w oczach matki, i że przez pijaństwo ojca nie starcza im pieniędzy. Nic tej paniusi nie powie. Cóż ona wie o prawdziwym życiu. Pouczać, to wszyscy potrafią.

– No, przybliź się do biurka.

– Zapach pani perfum mi przeszkadza – stęka z uśmiechem, ubawiony, że tak tej starej przyciął. Niech mu się nie wymądrza.

Marta sznuruje usta, patrząc na jego ubranie, zdradzające nieczęsty kontakt z mydłem. Gdyby podjęła zaczepkę, dokuczał by już stale. Zrezygnowana, każe mu opowiedzieć o dziewczynie, z którą kradł samochód.

Maryś uśmiecha się niewinnie, a w duchu obiecuje sobie, że kiedyś przyłoży tej babie gdzieś w ciasnej uliczce. Znosi jej wtrącanie się i pouczenia, bo wymuszają to na nim i sądy, i policja, ale weźmie za wszystko odwet. Na razie lepiej położyć uszy po sobie i udawać, że wszystko OK, póki się od niego nie odczepią. Inaczej zaraz by go dopadli.

– Chcieliśmy się tylko przejechać. . . Kuka to laska ze szkoły – krzywi się i odpowiada z ociąganiem. Nagle traci cierpliwość: – A co to, znowu sąd?! Mam dość przesłuchań!

Marta udaje, że niby nic i podsuwa mu arkusz papieru, polecając, żeby opisał swój najszczęśliwszy w życiu dzień. Sama bezmyślnie zabazgruje leżącą przed nią kartkę, zmartwiona, że nie może wymyślić antidotum na negatywizm tego chłopaka. Już on potrafi zalać sadła za skórę. Kradnie, chuligani, wagaruje. Nie skończył jeszcze szkoły podstawowej, a ma szesnaście lat. Szkoła wobec niego bezsilna. Na nic dobre chęci wszystkich po kolei wychowawców. Na nic teraz zapal Marty, bo choć cenią jej doświadczenie, na Marysia od miesięcy nie znalazła sposobu i już. Nieprzemakalny na wszelkie pedagogiczne zabiegi. Nie tylko na szkołę, książki, ale i na kino, telewizję, sport, na cały świat. Nic z tych rzeczy go nie emocjonuje. Czasem dla świętego spokoju, udaje, że przyjmuje sugestie Marty, ale szybko się z tego wyślizguje. Nikt nie jest w stanie go czymkolwiek zainteresować. Chyba, że nieznanani jej bliżej osobnicy o wzorcach negatywnych. Ktoś go przecież na złą drogę wciąga.

„Kim chciałbyś być?” – zapytała go kiedyś zwyczajnie. „Ładnym chłopakiem” – odpowiedział bez namysłu, szczerząc zęby.

Kpił w żywe oczy. Raczej nie przykładał uwagi dla swej zewnętrzności. Nie wyglądał na kogoś, kto nie może żyć bez częstej kąpieli, kto nie wyjdzie bez zaprasowanych kantów. Włosy zmierzwione, ubranie, jakby w nim spał, do tego nieporadny w ruchach. Brakowało mu sprężystości, nabywanej w sporcie. Powieki miał stale zaczerwienione, ropiejące. Radziła, by to leczył, ale tylko wzruszał ramionami. I tak że wszystkim. Patrzyła na niego z żalem.

Rodzice Marysia dawno opuścili ręce z bezradności. Żyje się im ciężko i pociechy szukają w butelce. Przyznają, że po wypiciu jest jeszcze gorzej. „Po co więc tak?” – pyta ich retorycznie, ile razy robi w ich domu wywiad społeczny, a oni wzruszają tylko ramionami.

„Czy ta panusia, nie rozumie, jak po kielichu, dwóch, robi się od razu łżej? Zaraz się zapomina o własnym pechu i przekętym losie, o wszystkim co zagraża, o czym trąbi telewizja. Już nie myśli się o braku pieniędzy, o chorobach i wszelkich przeciwnościach. Przestaje martwić, że dzieci nie chcą się uczyć, dach przecieka, klozet się zatyka, szyba w oknie wyleciała, sufit należałoby wreszcie pomalować, bo aż czarny. Po kielichu zaraz robi się łżej na duszy. Przychodzą sąsiedzi z zagrychą. Opowiada się kawały, wszyscy zarykują się ze śmiechu. Najgorzej, kiedy w butelce pokaże się dno, a kieszenie puste i nogi związają się w ósemki. Wtedy najlepiej oddać się błogiej nieświadomości smu”.

Maryś widzi to w domu nie raz. Woli wtedy wyrwać się gdzieś z kumplami albo sam na ryby. Tam, nareszcie wolny od wszelakich nakazów i zakazów, patrzy godzinami w błyszczącą wodę oraz błękit nad sobą i nic więcej mu nie trzeba. Po co ktoś ma go do czegoś przymuszać? Rodzice nie odważają się tego robić od dawna. Tylko ci ze szkoły się czepiają. Trzeci raz utrwala klasę ósmą. Czasem więc pokaże się w klasie, siada w ławce naburmuszony, wysuwając ostentacyjnie na środek nogi, nie mieszczące się pod ławką. Potem znowu znika, jeździ na ryby. Tak myśli dotrwać do siedemnastu lat, kiedy przestanie go obowiązywać obowiązek szkolny. Odtąd będzie robił co zechce.

„Z czego będziesz żył bez zawodu i pracy?” – pyta za każdym razem Marta. „Coś się tam wymyśli” – odpowiada buńczucznie.

Teraz Marta zaczyna w zniecierpliwieniu bębnić bezwiednie palcami o biurko.

Maryś podnosi głowę i patrzy na nią, mrużąc wyzywająco oczy.

Tego już za wiele! Wysyła go do pokoju obok, gdzie odrabiają lekcje młodzi podopieczni ośrodka, by tam skończył pisać o swym najszczęśliwszym dniu, a sama prosi dziewczynę, oskarżoną razem z nim o kradzież samochodu.

Ksaweryna Kukułka, zwana Kuka, wchodząc, odrzuca na plecy długie blond włosy. Obcisła bluzka z dekoltem i kusa spódnica podkreślają jej kobiecość, a ma niecałe 16 lat. Od razu widać, że żyje już w innym świecie niż jej naiwne rówieśnice. Jest nawet ładna, tylko jej wizerunek odległy od wymagań podstawówki, gdzie utknęła, bo za rzadko tam zagląda. Obiecuje chodzić, czasem nawet się pojawi i podobno pyta – odpowiada całkiem do rzeczy, ale szybko się tym nudzi. Tłumaczy, że głupio przesiadywać w ławce ze smarkaczami, co mają dziecinne problemy. Ona ma na głowie opiekę nad matką chorą na stwardnienie rozsiane. Marta skądinąd słyszała, że to efekt pijaństwa, kompletne *delirium tremens*. Nie docieka prawdy. Cokolwiek by to było, Kuka zna już smak niełatwej dorosłości. Tylko trzeba jej pomóc? Pyta ją, dlaczego chcieli ukraść samochód?

- Żeby się tylko przejechać. . .
- Narażał się dla ciebie.
- Też coś??

Teraz Marta Żaleńska wyzwala z siebie cały kaznodziejski zapal. Tłumaczy Kuce, że Marysiowi zależy mu na niej i mogłaby wpłynąć, żeby zmienił swe życie. Czy opłaca się włączyć po sądach, mieć nadzór kuratora, wyrok? Czy warto mieć tylko taką perspektywę, a na razie oboje ku temu zdążają i to szybko. Na to Kuka oburza się:

– A co mi taki gówniarz z kaprawymi ślepiami?! On tylko myśli, co ukraść. To przywódca bandy. Ja mam starszego chłopaka. Ma motor. . .

– Maryś przywódcą bandy? – dziwi się Marta – Taki niemrawy, co nade wszystko lubi łowić ryby i – jak opowiada – rozkoszować się spokojem wody i nieba?

– Maryś? – śmieje się Kuka. – On tak udaje! To twardziel! Wszyscy się go boją. Ja nie. Wiem, że się we mnie kocha. . .

– Widzisz, nie wierzę, aby był tak zły. . .

Marta mówi to z powątpiewaniem. Czuje się w swych zapędach pedagogicznych bardzo naiwna. Kto to powiedział – zastanawia się – że w każdym drzemie prorok, a kiedy się budzi, ubywa na świecie odrobinę zła.

W tym momencie wraca Maryś i wręcza jej wymiętoszoną kartkę. Koślawymi literami opisał krótko: „*Mój najszczęśliwszy dzień był jak załatwiłem Poloneza – metalik*”.

– Tyle tylko? – pyta Marta, bardzo nagle zmęczona i głodna. – Nie zanadto się wysiliłeś.

Maryś wzrusza ramionami, nie kryjąc przebiegłego uśmiešku. Marta każe mu to wyjaśnić. Opowiada urywanymi zdaniami. Nie wstydzi się mówić, że ukradł samochód. Dokonał tego sam, bez pomocników. Chełpi się tym.

– Wolałbym lepszy. Jakaś sześćsetę. Ale taki się nadarzył. Pojechałem nim na ryby. Nałapałem niemało. Cały dzień świeciło słońce. Gablotę zostawiłem w lesie. Tylko zgubił mi się w niej zegarek. Elektroniczny. Z melodyjkami. Został po nim kawałek paska w rękawie. Nawet czułem, jak się poluzował, kiedy mocowałem się z blokadą. Zorientowałem się dopiero w domu. Cały dzień nie było mi potrzebne wiedzieć, która godzina. Nic mnie nie kępowało. Tak właśnie chciałbym żyć. A zegarek powinien mi właściciel oddać, no nie?

– Na litość Boską – wykrzykuje Marta – i ty opowiadasz to tak beznamiętnie?! Nie boisz się?

– Kogo miałbym się bać? Każdy dla mnie za krótki. Liczy się tylko siła!

Kuka uśmiecha się z satysfakcją i skrywa twarz, zwieszając nisko głowę.

– Idźcie już – mówi Marta znużona.

Za drzwiami Maryś wymachując pięścią, oznajmia:

– Ja tej starej kiedyś pokażę. Zobaczysz. Wkopię jej gdzie po ciemku. Już mnie popamięta. Przestanie pouczać i przymuszać do głupiej szkółki. Trochę jej dziś pogoniłem kota. Nie? – Już na ulicy wybucha rechotem, aż się zanosi.

Marta czuje się wypalona do cna. Musi prędko stąd odejść. Naciśnąć czerwony guzik przy drzwiach tramwaju i odjechać w weselszą krainę, gdzie pomaga tym, co sami zgłaszają się na prowadzone przez nią seanse psychoterapii. A listu znowu dziś na pocztę nie nada. I nie przyzna się, że brakło jej na to sił.

III. PORADNIA DLA STRAPIONYCH...

Po wyjściu z tramwaju trzeba przejść kawałek zadrzewioną alejką i zaraz na płocie narożnego domu widać tablicę z napisem: PORADNIA DLA STRAPIONYCH. To placówka Marty Żaleńskiej. Lokum odnajmuje od ludzi przebywających za granicą, tam gdzie jej mąż. Kiedyś chyba zmieni tę pretensjonalną nazwę, ale na razie ta ludzi intryguje i rozbudza nadzieję. W tych czasach dużo osób się pogubiło. Człowiek bez ostrych łokci, ale niewyprany z sumienia, czuje się na każdym kroku zagrożony. Wylękniony gubi się, popełnia błędy. Niby uczy się ludzi jak żyć, a wciąż tylu psychicznych analfabetów... Takim trzeba pomóc. Oni łakną pociechy.

Jednak do jej poradni przychodzi nie za wiele potrzebujących. Na próżno reklamuje gdzie się da swą działalność, daje anonse do prasy, rozdaje karty wizytowe z reklamą poradni, rozwiesza ogłoszenia na przystankach, koło sklepów. Amerykanie bez obciachu powierzają swe wnętrza terapeutom i potulnie poddają się jego sugestiom. Pozostawiają mu swe rozterki czy porażki, a innym pokażą już tylko uśmiech, niczym wywieszkę na zatrzaśniętej bramie. U nas inny model kultury. Uśmiechnięty zdaje się z nas naigrywać. Korci, by mu dołożyć. Trudno, Polak mający we krwi szlachecki honor nie znosi, by mu kto babrał się w duszy i pouczał co robić. Z przekory wybiera coś gorszego. Raczej targnie się na życie, niż powędruje do psychiatry. Lepiej błędzić i tracić. Wstyd się obnosić z tym, co boli, demonstrować życiową bezradność. Mamy opory wobec psychoterapeuty, który doradza jak żyć, czyli do czegoś przymusza. On też słucha i wypytuje, a wszelkich „wypytywaczy” czyli „uszy” traktuje się u nas nieufnie. „Ucho szefa” – mówi się z obrzydzeniem o zaufanym przełożonego i ręki się takiemu donosicielowi nie podaje. Łatwiej opowiedzieć najskrytsze sekrety przypadkowym współpasażerom w tramwaju, racząc zarazem wszystkie uszy dokoła, niż zinstytucjonalizowanym doradcom. Czasy zaborów, wojen i konspiracji ukształtowały inny model obywatela. Nie cierpimy się podporządkowywać, a przymuszani robimy na przekór i z fantazją omijamy wytyczone ścieżki. Ale dzięki tej przekorze i fantazji mieliśmy powstania i w końcu wolność. „No ale gdyby to było takie proste, nie byłoby krzywe” – podsumowuje na koniec swe refleksje Marta.

Podczas studiów nie oddawała się beztrószkom życia w akademiku,

a dorabiała jako wychowawczyni w przedszkolu. Taki zawód zdobyła wcześniej, aby szybko pomóc finansowo rodzicom. Matka, skromna księgowa, pracowała całymi dniami w biurze i w domu. Z przemęczenia bolała ją nieustannie głowa. Ścisła ją mocno chustką. Ojciec też co dzień przynosił jakieś kosztorysy, bilanse i przesiadywał po nocach nad kolumnami cyfr. Odkąd pamięta, postukiwał wielkimi liczydłami, później szarpnął się na „kręciołę” do liczenia, terkotał na niej zajadle. Poświęcali wszystko dla dzieci z przekonania, że bardzo zdolne i zajdą wysoko. Czy się to sprawdziło? Trudno ocenić. Siostra jest lekarzem, brat inżynierem. Ustabilizowani, ale na Nobla żadne z nich nie zasłuży. Nie wybiją się ponad szlachetną przeciętność. Marta po rodzicach odziedziczyła pracowitość i zamiłowanie do porządkowania rzeczywistości za pomocą liczb. Wybrała więc pedagogikę ze specjalnością do nauczania matematyki. Próbowала i innych dziedzin, ale tę ukończyła. Ma też za sobą rozmaite kursy dokształcające i studia podyplomowe. Dotąd się dokształca. Tylko na przyjemności nie starcza jej czasu. Pamięta, jak po obronie pracy magisterskiej spostrzegła się, że ma dużo, bardzo dużo lat, bo dwadzieścia pięć, i nie wie co dalej. Takie wahanie było do niej niepodobne. Zawsze w okamgnieniu podejmowała decyzję. Czy najlepszą? – to inna sprawa. Ale nie cierpiała długo roztrząsać – za i przeciw – skoro i jedno i drugie ma tyleż samo kuszących właściwości, co i odpychających.

Na szczęście trafił się jej etat matematyczki w liceum na prowincji. Tam omal nie wyszła za męża. Dotąd to wspomnienie wyzwala całą gamę uczuć: od żalu i zażenowania po sentyment, a nawet wdzięczność. Nie wyszło, bo ona, wówczas surowa samotnica, mól książkowy, ceniąca tylko obowiązek i intelekt, nie poradziła sobie ze swymi emocjami. Żyła w opozycji, nawet w złości do świata. Zabrakło jej zwykłych dziewczęcych umiejętności. Ubierała się bez gustu, była przesadnie poważna. Ale dzięki tamtemu chłopakowi zrozumiała, że obok rozumu bywa ją też tkliwe doznania. I że jest coś takiego jak poezja. Nie tylko ta na zakurzonych półkach księgarń. To ją ośmieliło. Później wyszła za Włodka, urodziła córkę. Dotąd się dziwi, że udało się jej wejść na drogę, którą podąża większość najzwyczajniejszych kobiet. Nie została jednak kurą domową. Uczyła w szkole, brała na siebie nowe funkcje i obowiązki. Ostatnio jako inspektor szkolny nadzoruje pracę innych. Jest też kuratorem sądowym. A co najważniejsze: założyła własną poradnię.

Co dzień siedzi do południa w kuratorium wśród papierów albo jeździ po szkołach, gdzie przegląda sterty dokumentacji, hospituje, poucza. To zaspakaja jej pasję porządkowania świata. Ale jej pasje są niewyczerpane. Chciałaby wprowadzać innowacje, rewolucjonizować system wychowania. Tego jednak nikt nie potrzebuje. Ma tylko kontrolować, żeby było zgodnie z przepisami, programem, zaleceniami władz i nic więcej. To dla niej za mało! Wykonuje to wszystko solidnie, ale jak we śnie. W każdej szkole takie same rubryki, dzienniki. Nuda! W końcu szkoły rozróżnia po brodawce na nosie dyrektorki, po wzorze na posadzce korytarza. Nadmiar pedagogicznych zapędów spożytkowuje jako kurator trudnej młodzieży i we własnej poradni. Tu się dopiero wyżywa! Bliscy i znajomi uciekają przed jej zajadłością do ustawiania wszystkich po swojemu. Boją się – jak twierdzą – że każdego przerobi na twór doskonały: inteligentny, zintegrowany, asertywny, zadowolony z siebie, prospołeczny, bez kompleksów, myślący pozytywnie. Niby okaz pożądaný, ale nijaki. Oni wołają zмагаć się sami z ciemną stroną swego jestestwa i pielęgnować swe fanaberie.

A jak usłyszy w radio narzekania bezdomnej, że uciekła od męża pijaka, bo ją bił, oburza się dlaczego ta nieszczęsna tak źle żyje, czemu wciąż dokonuje złych wyborów? Powinna robić wszystko inaczej. Tak samo podsumuje gwiazdę filmową, uwielbianą niegdyś przez mężczyzn, która dogasa w żalu do świata. Już by ją ona nauczyła inaczej żyć! Podobnie doradziłaby Annie Kareninie. Wokulskiemu wybiłaby z głowy stanowczo za młodą Izabelę. Raskolnikowa poddałaby resocjalizacji, nakłoniła do zarabiania na siebie, bo nicnierobienie i kontestacja prowadzą do najgorszego. Marta nie może się powstrzymać, by nie wygłaszać takich teorii na lewo i prawo, bo przecież powinno się ludzi uczyć, jak żyć, skoro ciągle błędzą. Mniej by było cierpienia. . . ! Słuchający uśmiechają się, a potem mówią z przekąsem: „wściekła naprawiaczka świata”. Śmieją się, że nie minie siusiającego pod drzewkiem pieska, żeby mu nie pogrozić.

Dziś na warsztaty terapeutyczne przyszło osiem dziewczyn. Zwabił je tu anons w gazecie: *CZUJESZ SIĘ ZA SŁABY, BY SOBIE RADZIĆ W KAPITALIZMIE, PRZYJDŹ DO PORADNI DLA STRA-PIONYCH*. To hasło okazało się chwytliwe. Zgodnie z wymogami są w dresach i adidasach, tylko jedna ma kremowy sweter. Na razie. Trze-

ba będzie wziąć ją w obroty, by się dostosowała. Zatrzymują się nieśmiało koło drzwi.

Zanim weszły, dopytywały z niepokojem jedna drugą, co je tu czeka. Boją się. Przecież to okrutne, powierzać terapeutce, co się myśli, czuje, co skrywa. I ona będzie wiedzieć więcej, niż się samemu o sobie wie. Jeszcze wywlecze coś, co chciałoby się ukryć. Zmusi do czego zechce. Słyszały przecież o Freudzie, o teorii kompleksów i hipnozie. Boją się manipulowania psychiką. Tylko nie dało się dłużej znieść cierpienia. Trzeba się oddać w ręce tej bezlitosnej specjalistki. Byleby nie kazała porzucić tego, za czym goni się bez nadziei, gdy to stanowi cały świat.

– Jestem Marta – zaczyna. Patrzą z niepokojem na jej wydatne usta, ściągnięte surowo gumką czarne włosy. Wyraz twarzy groźny, ale błąka się na niej ironiczny uśmieszek.

Przedstawiają się i one: Hanka, Jola, Kinga, Bożena, Halina, Zośka, Lucyna. . . Beata.

Marta zapala świece na stole, wyłącza górne oświetlenie. Nastawia płytę, skąd wzbijają się i opadają łagodne tony fletni Pana, niczym gwizdanie kosa. Nalewa w filiżanki herbatę, podsuwa pachnące anyżem herbatniki. Stwarza tak nastrój. Będzie się on potem kojarzył z zasłyszanymi tu afirmacjami. To pewnego rodzaju hasła towarzyszące psychoterapii.

Sama z rozkoszą rozgrzewa się gorącym napojem i raz po raz sięga po ciastko, obiad wszak chapnęła naprędce w stołówce kuratorium, a od tego czasu przemierzyła całe kilometry od zajęcia do zajęcia. W pośpiechu znów zapomniała nadać na pocztę ten rozstrzygający list. Może to i lepiej. Ciągle rozważa, czy swą docieklivością nie popsuje czegoś, co jeszcze nie jest jednoznaczne. Woli trwać w niepewności i nadziei?? Sama nie wie. Na razie zamknie na te sprawy oczy, zasłoni uszy rękami. Trudno, i w jej duszy są obszary niepewności, nie poddające się rozumowi.

Teraz każe dziewczętom usiąść na rozłożonych wkoło materacach. Sama pośrodku siada w pozycji lotusa. Z dumą demonstruje tę wymagającą ćwiczeń umiejętność. Dziewczyny próbują niezdarne. Chwieją się, wypinają, i spadają z hukiem na „dolne plecy”. Słyszą chrzęst kości. Marta z ironicznym uśmieszkiem wytyka im brak koordynacji

ruchowej, sztywność zablokowanych psychicznie ciał. Już ona weźmie je w obroty!

– Moje drogie – podejmuje, gdy już siedzą dookoła niej na razie po turecku – wydaje się, że trudno uczyć się sztuki życia. Ale zbyt często wybieramy błędne ścieżki i cierpimy. Zmieńmy to od dziś. Mamy nieskończone możliwości uczynienia swego życia lepszym.

Każę oddychać głęboko, wyrzucić ramiona w górę i nagarniać sobie nimi mocy ile się tylko da. Rozchylają szeroko ręce i chwytają to coś niewidzialnego. Radośnie wykrzykują za Martą słowa afirmacji: *„Mam w sobie nieskończenie wiele energii. Otwieram się na całą urodę świata, na szczęście, miłość i wszelkie dobro. Zagarniam tego ze wszechświata jak najwięcej. Teraz jestem bogatsza wewnątrz i szczęśliwsza”*. Wpatrzona w nią, skandują to jeszcze raz i jeszcze, coraz głośniejsze, coraz radośniej. Porywa je entuzjazm do dalszych poczynań. Wreszcie Marta oznajmia, że zaczerpnęły wystarczająco energii.

Pora poznać się bliżej. Zaczyna pierwsza od okna, ta w brązowym dresie, Hanka. Wygląda tak niepozornie, że patrząc na nią, już się zapomina jak wygląda. Jest nauczycielką w szkole podstawowej. Orzeka, iż lubi swą pracę, lubi dzieci, one ją również, ale wypowiada to wszystko monotonnym tonem, jak powtarzaną wielokroć lekcję. Po namyśle streszcza się lakonicznie, jak w urzędzie, że ma dwadzieścia sześć lat. Niezamężna.

– Powiedz, po co tu przysłaś? – wtrąca Marta. – Czego oczekujesz po tej terapii?

Zapytana milknie. Wreszcie wyznaje że spuszczoną głową:

– Potrzebuję uspokojenia. . . Niedomagam ostatnio. . . Nie potrafię tego wyrazić. . .

– A co cię tak naprawdę gnębi? – naciska Marta.

– Muszę już o tym?

– Bez szczerości będzie trudno.

– Nie wiem sama, czy wyjść za chłopaka, który podobno mnie kocha, a mnie się – raz podoba, raz nie. Sama nie wiem. . .

– Nie kochasz go. . .

– Nie wiem. . . Powinno się kogoś mieć. . . Ale on mały, gruby, łysawy. Wyprany z romantyki. Dentysta. Nic prócz zębów go nie interesuje – urywa i spuszcza głowę – sama nie wiem. . .

Z kolei głos zabiera siedząca obok, Jola. Jest inżynierem. Ma trzy-

dzieści osiem lat, męża i dwoje dzieci. Też pragnie podnieść swe samopoczucie, wzmocnić usposobienie. To się przyda. Rąbie zdanie po zdaniu, zdecydowanie, że nikt nie zadaje żadnych pytań.

Teraz z ociąganiem wypowiada się Bożena. Brunetka o delikatnych rysach z białą karnacją i niebieskimi, aż szafirowymi oczami. Mówi powoli, przytłumionym głosem i owija wokół palca białą chusteczkę z koronką. Pociera nią twarz i znów kręci nerwowo na palcu.

– Ja potrzebuję czegoś, sama nie wiem czego. Wiedzy, wsparcia. . . Aha, mam lat dwadzieścia cztery. . . Trochę mi się nie układa. Niby nie jest źle. Mam chłopaka. Jest malarzem. Już uznanym w środowisku. Tylko ja boję się jego miłości. A jeszcze bardziej, że gdy zerwę, zrobi sobie coś złego. On do tego zdolny, bo ma melancholijne usposobienie. Rodzice uważają, że nie wolno mieszać miłości z litością. Oni są lekarzami. Wiecznie zapracowani, zmęczeni, chyba zapomnieli, jak to jest w młodości. Nie mają pojęcia o takich jak Andrzej. Martwię się o niego. O wszystko się zamartwiam. Sama nie wiem, jak to powinno być. . .

Opowiada to tak cichutko, jakby ledwo oddychała. Wygląda na osobę nieśmiałą i zamkniętą w sobie. Urywa. Przez chwilę żadna nie mówi, jakby i one przestały naraz oddychać, żeby nie spłoszyć tego zwiewnego motyla, jak Bożena. Ta uzupełnia, że uczy francuskiego.

– Świetnie! – wykrzykuje Marta – założysz szkołkę językową! To teraz na topie!

Urywa, połapawszy się, że znów próbuje urządzać komuś życie według swojej miary. Wciąż wyłazi z niej niepoprawna naprawiaczka świata. Niepoprawna, a innych chce poprawiać?

– Jestem fizykiem. . . – mówi Halina, czarnowłosa, chuda i wysoka, wyglądająca na najstarszą z nich. – Kiedyś opowiem więcej. . . nie pytajcie. . . Dziś. . . nie. . .

Zanim któraś odważy się zareagować, rozlega się skrzekliwy głos dziewczyny o sterczących na wszystkie strony kosmykach czarnych włosów.

– Na imię mi Zofia, ale nie znoszę słodkiego: Zosia. Mówcie mi po prostu Zoja, Zośka. Jestem kierowniczką świetlicy. Mam 35 lat. Co mi dolega? Wątroba. Serce. Nerwica. To przez teściową. Koszmarny babsztyl. Mówi o mnie: „Złofija”, a nawet „Złafiga” – terkocze i wyrzuca to z siebie jak z karabinu, aż inne się odsuwają.

Teraz przedstawia się siedząca obok Lucyna, uśmiechnięta, z misterną kokardką na czubku głowy. Na twarzy ni śladu pudru czy szminki. Szyję otula szalenie szaliczkiem, a stopy – puszystymi skarpetkami w różowe kwiatki. Wygląda na rozpieszczoną nastolatkę. Mówi powoli, starannie modulując każde słowo.

– Jestem sekretarką. Mam trzydzieści lat. Moją największą przywarą jest spóźniałstwo.

– To brzmi jak ślamazarstwo – wtrąca energicznie Marta. Nie dba, czy wypada tak dogryzać. Jej wszystko wolno. Musi pomóc brać się w garść. Ale Lucyna potulnie kończy swoje:

– Spojrzę na zegarek: siódma. O, to jeszcze mam dużo, dużo czasu. Kręcę więc spokojnie włosy, pijam kawę i nie mam wcale poczucia, że przez ten czas zegar się posuwa. Dla mnie wciąż jest godzina siódma. Potem patrzę – a tu już wpół do ósmej. Czas przyspieszyć. A tu tyle jeszcze do zrobienia. Ten sweterek ubrać, czy tamten? Włożyłam do torebki dokumenty? Jeszcze kanarkowi dosypać karmy i już leć. Która to godzina? Za pięć ósma?? Za późno! A przecież dopiero było wpół? Co się stało? I tak dzień po dniu. Dobrze, że mam nienormowany czas pracy. Tylko boję się, że nie zdążę do czegoś w życiu ważnego. Chciałabym coś zmienić, lecz nie wiem co... Tyle się teraz mówi o karierze... Ale mama, babcia, ciocie, pilnują, co mi wolno, co powinnam...

Zamyśla się. Ciotek w jej otoczeniu bez liku. Mieszkają w tym samym domu, inne wstępują po drodze, przyjeżdżają. Nie mają swojego życia, więc ochoczo ją właśnie pouczają, bo jest jedyną młodą dziewczyną w ich gronie. A mama i babcia całymi dniami coś pitraszą i częstują psychotami. W domu jest wprawdzie tato, bywają mężowie tej czy innej ciotki, ale w całym tym babińcu ich się nie zauważa. W swym gronie rajcują zagorzale o polityce i samochodach, czego panie nie cierpią. Zaśmiewają się, bacząc, aby damskie ucho tego nie podchwyciło. Łysi, brzuchaci, nieciekawi. Nie zdradzi, jak jej brak w tym gronie młodych, jakichś kuzynów, znajomych. Tęskni za kimś takim, choć nie ma pojęcia, o czym by z nim rozmawiała. Czasami ta tęsknota nie do wytrzymania. Chciałaby przeżyć coś jak z powieści. Jakąś wielką miłość. Do tego się jednak nie przyzna. Za nic!

A słuchające domyślają się, jak te wszystkie ciotki bez przerwy ją pouczają, by chroniła gardło przed zimnem, i nie próbowała niczego, od czego mogłoby ponieść uszczerbek jej dobre imię, a lista tych

zakazów długa. Wciąż chcą widzieć w Lucynie pucułowatego bobasa z loczkami. Ona stara się temu sprostać i będąc w wieku balzakowskim staje się starzejącą przedwcześnie dziwaczką z rysami dziecka.

Siedząca obok niej Kinga jest śniadą brunetką o smukłej sylwetce. Krótko informuje, że uczy WF-u. Karierę sportową zakończyła. Przyszła, bo też potrzeba jej więcej sił do radzenia sobie z łobuzami w szkole. Jest rozwiedziona. Dzieci nie ma.

– Chcę być sama. Tak mi dobrze. I to wszystko – wyrecytowała tonem dobitnym jak typowa trenerka, nawykła do rzucania rozkazów i nie znosząca sprzeciwu.

„I ta kłamie – myśli Marta – jakże one na początku kręcą”.

– Jestem Beata – zabiera na koniec głos ta jedyna dziewczyna w swetrze. – Pracuję w telewizji. Wcześniej w radio. . . Tu przywiodła mnie ciekawość. Mieszkam niedaleko i zaintrygowała mnie tablica z informacją PORADNIA DLA STRAPIONYCH. To wiele obiecuje. Ja nieustannie szukam tematu do audycji, do filmu. Jestem reżyserem.

– Chcesz wykorzystać nas w mediach? – pyta Marta z niepokojem.

– Bez przyzwolenia nie wolno. Chociaż byłaby to reklama dla poradni.

Beata mówi to wszystko jakby skrepowana. Dziewczyny nieruchomości. Oczy z zazdrości wychodzą im na wierzch. Tak przynajmniej Marcie wydaje się, gdyż sama tak odczuwa. Przewierca Beatę badawczym spojrzeniem. Nie w smak jej ta wypowiedź. Cóż można zrobić dla kogoś, kto pomocy nie potrzebuje? Tamte, choć na początku nieszczerze, coś niecoś jednak ujawniły. Ta z miejsca się dystansuje. A przecież gołym okiem widać, że jej przesubtelniona natura potrzebuje cieplarnianych warunków i byle co ją rani. Marta czuje, że z przyjściem tej dziewczyny jej dominacja zagrożona. Terapeuta powinien być najlepszy. I mieć do czynienia z osobami nieporadnymi. Łatwiej być wtedy magiem i wyrocznią.

– Ile masz lat? – pyta.

– Po trzydzieście – odpowiada z ociąganiem zapytana.

– Bliżej trzydziestki, czy dalej? – naciska teraz Zośka.

– No niech będzie. Trzydzieści cztery.

Marta pyta o jej życie osobiste. To wbrew regułom, bo na początku pozwala skrywać coś, kamuflować, kłamać. Potrzeba zwierzeń przyjdzie

później i tak. I to szczerych aż do bólu. Ale Beata odpowiada bez zająknięcia.

– W porządku. Mam mieszkanie w domu rodziców, samochód. Przy kierownicy jestem w swym żywiole. Poza tym niezależna. Rozwiedziona. Życie osobiste nie nastęcza mi problemów. W pracy też sobie radzę. . . Tylko chcę być doskonalsza. W moim zawodzie liczą się tylko najlepsi. Przeciętni odpadają. To światek, którym rządzi bezwzględny dobór naturalny. Jeśli się podjęło tę grę, nie wolno spasować. Do tego potrzeba większej agresji. Tego mi tylko nie starcza. Ot co. . .

Zapada milczenie. Pokazanie się tej osobistości z telewizji i to w aurze udanego życia po ich skąpych jeszcze, ale już coś sugerujących wyznaniach, jest dysonansem. Niby i ona na coś narzeka, ale jakże to odległe od ich przyziemnego zatroskania. Nie ubrała się też jak one w dres, ale w dżinsy, kremowy pulower z mohairu i białą bluzkę. Na przegubie ręki, podpierającej wytwornie podbródek, błyska złota bransoletka. Wreszcie, wyczuwając w ich milczeniu, że coś jest nie tak, dorzuca:

– Jako reżyser muszę być bardziej twardą. Kierować grupą. Wymagać. Do tego trzeba większych sił psychicznych. Liczę, że tutaj ich nabędę. . .

„Ona nie ma pojęcia – myśli Marta – jak życie bywa trudne. Z pewnością musi mieć mocne plecy. Każde drzwi przed taką otwarte. A że nie zawsze leci jak z płatka, to z powodu nadwrażliwości. Jej uciążliwości są z innego obszaru, z bardziej subtelnego. Nie każdy może sobie na taką delikatność pozwolić”.

– Osiągnęłaś pułap swych możliwości i dalej ni rusz? Zabrakło talentu?

– Talent to niby większa łatwość robienia czegoś – odpowiada po namyśle Beata. – Ale pasja i siła przebicia też się liczy. Takoz poczucie, że to, co się robi, jest coś warte.

– No, nie dla przechwałek tu przychodzimy – przecina obcesowo Zośka – mamy poważniejsze problemy. Boję się, czy odważę się o nich przy tobie mówić.

– Ja tylko tłumaczę, że w mojej pracy potworne stresy. Jeden tu pracuje, drugi tam, a żyjemy podobnie. Musimy jeść, spać, mieć kogoś bliskiego. Martwimy się o to samo. . .

Przy ostatnich słowach Beata odruchowo dotyka dłonią pulowera

z lewej strony i patrzące zadają sobie pytanie: niepokoi się o pierś czy serce? Dobrze znają ten lęk, tę nieustanną konieczność sprawdzania piersi, czy nie czai się tam złowroźbny guzek – rak.

– Powiedzmy – wtrąca kąśliwie Zośka, która jakby niczego nie zauważyła – wszędzie jeden drugiego zagryza... Szczególnie tam gdzie łakomy kasek... .

– Mnie przeraża narastająca brutalizacja obyczajów – zmienia wątek Beata. Człowiek czuje się zewsząd zagrożony

– Ja też się boję – mówi Jola. – Miałam już jako tako poukładany świat, przynajmniej znałam jego reguły działania, a teraz w tej nowej epoce kapitalizmu, przy gospodarce rynkowej, wszystko wywróciło na opak i trudno się w tym zorientować. Czuję jak w *Zbrodni i karze!*

– Pragnęliśmy zmian, głosowaliśmy na nie w euforii, a teraz nijednemu trudno połapać się w prawach wolnego rynku – podsumowuje Marta. – A tu komercja, korupcja, afery... Szary obywatel, wylękniony widmem straty pracy, nawet głodem, potrzebuje, by mu ktoś to wytłumaczył. Łaknie pociechy. Niby uczy się ludzi jak żyć, a wciąż tylu analfabetów psychicznych... .

Dziewczyny przysuwają się do siebie lękliwie i ścisząją głosy, jakby w obawie, że za oknami czai się kłębowisko bestii, większych od człowieka. Już oplatają dom! Zaraz się tu wedrą! Gruba Zośka zrywa się i przekręca jeszcze raz klucz w zamku. Boją się spojrzeć w okna. Któraś wyciąga pastylki na uspokojenie. Za nią wyciągają leki i inne dziewczyny. Rozglądają się za herbatą. Marta krzywi się.

– No cóż, napchajcie się tymi pigułkami! Wkrótce wzmocnicie na tyle swe poczucie siły, że się bez nich obędziecie! Ja od lat nie zażyłam takiej tabletki.

Patrzą z niedowierzaniem. Zamierają ze szklankami w ręku i pudełkami leków. Marta uśmiecha się dziwnie. Gdyby im powiedziała, dlaczego wyzwoliła się od podobnych medykamentów, straciłaby w ich oczach. To był nie tylko efekt pracy nad sobą. Najpierw był żal do kogoś, kto sprzedawał takie w aptece i na kim się zawiodła. On na niej też. Przecież naprawdę chciał się z nią żenić. Uchodzili za oficjalne narzeczeństwo. Całe tamto miasteczko, gdzie powszechnie szanowany aptekarz Owillo z apteki „Pod Orłem” był kimś bardzo ważnym, wiedziało, że jego poczciwy pomocnik, a zarazem bratanek, wybrał na żonę ją, mola książkowego, surową nauczycielkę matematyki w liceum,

osobę wzbudzającą respekt, ale i niechęć. Uwierzyła mu, że na ludzi należy patrzeć przez palce, wybaczać im. A kiedy tylko odważyła się tak spojrzeć, wszystko się popsulo. . .

– Moje drogie – mówi pośpiesznie – po to są te warsztaty terapeutyczne, by po nich bez lęku wyjść do świata! I mieć więcej sił do życia! Na następnych zajęciach będziemy analizować to, co każdą dręczy. Przemyslcie to.

– To ja powiem coś już dziś, bo muszę się wygadać! – wrywa się Hanka. – Mam siostrę. Młodsza, ale o wiele ładniejsza. . . i zdolniejsza. Ciągłe nas porównują. I nauka przychodziła jej bez trudu. A jeszcze dokładała starań, by być najlepszą. Zdobywała wszelkie nagrody. Wiedziała czego w życiu chce i to osiągnęła. Skończyła medycynę i choć młodsza, wyszła już za męża. Natomiast ja, ten gorszy egzemplarz, jestem tylko nauczycielką w podstawówce. Nigdy rodzicom nie zaimponuję. Ani nikomu. Jestem za mało zdolna. Chciałabym, żeby chociaż mój chłopak mógł zaimponować i mnie wprowadził wszędzie tam, gdzie się boję, a on tak samo nieśmiały. Niby wykształcony, dentysta, a obawiam się, że nie robi najlepszego wrażenia. Niepewny siebie. Chwilami wydaje się mało inteligentny. Nigdy nie ma nic ciekawego do powiedzenia. Rzadko w ogóle się odzywa. Najwyżej o zębach. Nudziarz.

– Gdybyś kochała, widziałabyś go innym – odpowiada poważnie Marta.

– Wiem! Wszystko robię źle! Nienawidzę siebie!

– Tak nie wolno! Tutaj nauczysz się, jak siebie lubić. Wtedy przestaniesz się dręczyć.

Hanka uśmiecha się z wdzięcznością. Robi się późno. Pora kończyć zajęcia. Zanim wyjdą unoszą w górę ręce i powtarzają słowa afirmacji. Marta patrzy w nie z niepokojem. Czy podoła ich oczekiwaniom?

IV. PRACOWNIA POWIĘKSZANIA SERC

Przygarbiony i smutny mężczyzna w szarym płaszczu przemierza ulicę, gdzie w bladej poświacie latarni ciągną się w nieskończoność mury, szare, o tej porze, jak popiół. Przystaje pod tablicą z napisem PORADNIA DLA STRAPIONYCH – FILIA. Waha się przez moment, ale otwiera skrzypiącą bramę. Nie decyduje się wsiąść do windy w na-

dziei, że w miarę wdrapywania się na kolejne piętra wydarzy się coś, co usprawiedliwi odwrót. Co kilka stopni zwalnia, a serce bije mu coraz głośniejsze. Raczej nie ze zmęczenia, bo nie ma więcej jak czterdzieści lat. Powstrzymują go wątpliwości. Ciągną do tyłu. Ale idzie.

Polecono mu ten ostatni ratunek. Polecili ci, którzy jeszcze wierzyli w szczęście. On nie ma już takich złudzeń, ale prosili: idź tam, spróbuj, wykorzystaj szansę. Może ona pomoże. Uśmiechał się tylko ironicznie: cóż można pomóc w jego sytuacji. W końcu się wybrał. Bez przekonania. Ale z odrobiną nadziei. Nigdy by sobie nie wybaczył, gdyby nie wykorzystał i najmniejszej szansy.

Pani, udzielająca tutaj porad, z którą był telefonicznie umówiony, już czeka. Podaje mu rękę na powitanie i wskazuje wieszak w przedpokoju. Wieszka tam szary płaszcz i zostaje w szarym garniturze. Jest średniego wzrostu, średniej budowy, lekko łysiejący. Nic w jego wyglądzie szczególnego. Bierze swą czarną teczkę i przystaje niepewnie w progu pokoju. Tam półmrok rozświetla zaledwie lampa przy biurku. Tak widocznie potrzeba dla nastroju. Oświetlenie to wydobywa żółtą cerę kobiety i potargane, czarne włosy. „Istna z tej wróżki, jak ją nazywają, czarownica” – myśli mężczyzna. Jednak gdy samemu się jest brzydkim i pozbawionym wszelkich walorów, łatwiej komuś takiemu powierzać swe zgryzoty. Taka lepiej go wyczuje.

Zaprasza go, by usiadł w fotelu naprzeciw jej biurka, a kiedy siada niewygodnie na brzeżku, nakazuje mu rozsiąść się wygodniej i pyta, z jakim problemem przyszedł.

Trochę nie układa mi się w życiu. . .

Urywa i za chwilę opowiada bezbarwnie, że skończył studia, biochemię, i pracuje w instytucie naukowym. Ma żonę i dzieci. Milknie zakłopotany, co by tu jeszcze dodać.

– Wszystko jakoś się układa – podsumowuje terapeutka. – W czym zatem problem?

– Chyba brak mi szczęścia. W miłości. Już nie wiem co zrobić, żeby żona mnie kochała.

– A nie kocha?

– Chyba tylko się lituje. Kiedyś może kochała. Ale mnie na jej miłość trudno zasłużyć. . .

Milknie speszony, że tak bez ogródków wypowiedział, co miał na sercu. To wszystko mieści się w tak niewielu słowach. Tylko w życiu

wlecze się w długimi godzinami, tygodni, miesięcy, lat, milczeń, wyczekiwań, uraz, żali. W końcu ścierpnięte serce ledwo odważa się bić. Niejeden raz ma takie wrażenie.

Pomimo spuszczonej oczu wie, że terapeutka bacznie mu się przygląda. Zachęca, by opowiadał dalej. Niech powie, co robi, aby żona go kochała.

Długo opowiada jak bardzo się stara. Zarabia nawet nienajgorzej. Pomaga w pracach domowych i zakupach. Trzepie dywany. Zmywa gary. Kocha dzieci. Lubi się z nimi bawić. Tylko, ile razy poczuje na sobie sobie krytyczny wzrok żony, peszy się, że pewnie znowu coś złe zrobił. Może się ośmieszył w zabawie z dziećmi? Zrobił coś, co nie wypada? Powinien inaczej? Jak ona patrzy, on od razu czuje się śmieszny i niezręczny. Za co więc kogoś tak śmiesznego miałaby kochać? W jej oczach czyta, jak jest brzydki, niewydarzony, mało zdolny. Sam też to widzi. Najgorzej, kiedy nie potrafi naprawić czegoś w samochodzie, w odkurzaczu, albo nie umie odpowiedzieć na pytanie dziecka. Zaraz czuje się głupim niedojdą. Ona tego nie mówi. Ale ma powody tak myśleć. Sam to wyczuwa. Tymczasem ona milczy. Smutna, niezadowolona. A innym razem zasypuje go zarzutami. Tylko nazwać go głupim nigdy się nie odważa. To tym bardziej niepokoi. Łatwiej powiedzieć coś, co jest nie do końca prawdą, niż potwierdzić oczywiste.

Czarnowłosa uśmiecha się ze zrozumieniem i podchodzi do ściany, która okazała się regalem z szufladkami od podłogi po sufit. Wyciąga pierwszą z napisem: „Problemy”, a z niej formularz i daje mu do wypełnienia. Przebiega wzrokiem pytania o sytuacje konfliktowe w domu, przyczyny i objawy kryzysu małżeńskiego, podejmowane próby poprawy. To do jego sytuacji nie bardzo pasuje. Ani mu w głowie oglądać się za innymi kobietami. Żadna by się nie równała z jego wybranką. Ona też nie rozdrażnia jego zazdrości. A jest zazdrosny. Kto by nie był o taką kobietę?! Piękna. Zgrabna. Mądra. I robi karierę.

Przegląda dalej formularz. Wymienionych nałogów nie ma. Nie pije. Nie pali. Co dzień się kąpie. Zmienia skarpety. Jest do przesady higieniczny. To raczej ona rozrzuca swoje ciuchy. Wszędzie można znaleźć jej długie włosy, na wannie, w książce. Zapomina, gdzie co ma. Wciąż coś gubi. Nie lubi gotować. Ale się przymusza. I nieraz wszystko knoci. Przywykł do jej zakalców i przypalonych zup. Tak pięknej kobiecie wszystko ujdzie.